Czerwiec 2016

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

223

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

BESKID MAKOWSKI

Tegoroczny „Beskid Makowski" odbył się w dość kameralnym gronie. W sobotni ranek, po pożegnaniu Pani Prezes, Asi i Olka, którzy udali się na 3 tygodnie za ocean, wyjechaliśmy ze Sławkiem Nowickim z Katowic do Krzczonowa. Stąd ciekawym, bezszlakowym wariantem przez Ostrysz podeszliśmy na Kotoń. Pogoda była prawdziwie letnia, a widoki dalekie. Po przejściu Kotonia zeszliśmy zielonym szlakiem do Więciórki i przez przeł. Bez Jeża dotarliśmy do Skomielnej Czarnej. Tu spotkaliśmy się z Raketami (całą trójką), przestawiliśmy auto Sławka do Osielca i ruszyliśmy z pełnym wyposażeniem biwakowym pod Łysą Górę. Po ok. godzinie podejścia znaleźliśmy ładne miejsce na biwak. Wieczór był wyjątkowo spokojny, ciepły, a za drzewami przebłyskiwał księżyc w pełni. Pieczonki wyszły też wyjątkowo udane. A w niedzielę przeszliśmy przez Polanę Gronie i Słoną Grapę do Osielca, skąd wrócilismy do domu.

Jacek Ginter

RUMUNIA 2015 CZĘŚĆ 1

Jak jednym hasłem określić tegoroczny obóz kursu 2015/2016 w Rumunii tak, żeby oddawało ono w całości charakter wyjazdu? Pomysłów na tytuł było kilka – „Kolejówka 2015", „Wanną przez Fogarasze", „Plany planami, a życie życiem" czy „Oblicza Rumuńskiej gościnności", jednak chyba nie da się lepiej streścić tych dwóch tygodni niż jednym słowem: „Rumunia". Takiego natłoku dziwnych zdarzeń jeszcze na żadnym wyjeździe nie było i chyba nie będzie, aż do momentu kolejnej wizyty w tym kraju. Pierwsze plany zaczęły się sypać kilka dni przed wyjazdem, kiedy to z powodu napływu uchodźców zamknięto dla pociągów międzynarodowych dworzec w Budapeszcie, przez który wiodła nasza trasa dojazdu. Uzbrojeni więc w załadowane do granic możliwości plecaki i kruczka ogarniającego cały wyjazd i czekający nas milion przesiadek (z czego zdecydowana większość przewidziana na kilka minut, czyli: „ledwo zdążysz znaleźć dobry peron, jeśli pociąg się nie spóźni") na trasie alternatywnej, zaczęliśmy w niedzielne popołudnie na dworcu w Katowicach drugi w historii koła kursowy obóz w Rumunii.

6 września, dom – Żylina, (pociągi nr 1 – 2)

Dzień spędziliśmy na przejeździe dwoma pociągami do Żyliny, przesiadając się w Zwardoniu po raz pierwszy oraz zbierając dosiadających się po drodze pozostałych uczestników – późnym wieczorem w miejscowej knajpie była nas już cała czternastka. Z powodu zbliżającego się zamknięcia lokalu wybraliśmy się na nocne zwiedzanie miasta, połączone z poszukiwaniem otwartego sklepu. Miasto sprawiało wrażenie wymarłego – echo naszych głosów roznosiło się po głównym placu. Poza nami nie było widać żywej duszy, wszystkie światła w oknach były pogaszone: widać, że Słowacy chodzą spać zdecydowanie wcześniej. Na szczęście, nieco na obrzeżach, znaleźliśmy otwarty 24/7 Tesco, gdzie mogliśmy zaopatrzyć się na cały kolejny dzień jazdy.

7 września, Żylina – Sibiu, (pociągi nr 3 – 8)

Po godzinie drugiej w nocy wsiedliśmy do pociągu Żylina – Koszyce, gdzie czekała nas trzygodzinna drzemka przed kolejną przesiadką. Ludzi było zaskakująco dużo, trzeba było rozdzielić się praktycznie po całym wagonie na pojedynczych wolnych miejscach – zapewne dlatego, że na Słowacji studenci i emeryci mogą jeździć pociągami za darmo. W momencie wysiadki zaczynało się już robić widno, przez co w kolejnym pociągu (Koszyce – Miszkolc) mało kto zdecydował się spać. Zamiast tego otworzyliśmy ciasta, czekolady i innego rodzaju maszkety, robiąc też użytek z zamontowanych przy każdym siedzeniu otwieraczy. Spotkała nas też pierwsza niespodzianka – pociąg, na który mieliśmy się przesiąść w Miszkolcu, odjeżdża jednak kilka minut przed naszym przyjazdem, trzeba więc szukać planu awaryjnego. Węgierski konduktor doradził pojechać jedną stację dalej i stamtąd próbować kontynuować podróż – wysiedliśmy więc w Fuzeklach (nie wiedzieć czemu zaznaczonych na mapie jako Füzesabony), skąd wystartowaliśmy lokalnym pociągiem (piątym już na naszym wyjeździe) w kierunku Debreczyna, a więc zupełnie przeciwnym niż powinniśmy. Konduktorka była bardzo zdziwiona widokiem naszego biletu (tak jakby bilet Paryż – Szczecin pokazać w Chorzowie w pociągu do Gliwic), przez barierę językową ciężko też było się dogadać. My zrozumieliśmy, że z powodu remontu torów trzeba się przesiąść na autobus i nie zdążymy na kolejną przesiadkę, więc znowu zmieniliśmy plany. Najpierw jednak z ogromnym entuzjazmem dostrzegliśmy, że jedziemy przez sam środek węgierskiej puszty – Parku Narodowego Hortobágy, i mimo że zdecydowana większość ludzi zdecydowała się wtedy pójść spać, to w kilka osób sterczeliśmy w oknach, podziwiając widoki. Gdy nadszedł czas przesiadki na autobus, radość urosła jeszcze bardziej: tak jak czekając na autobus w okolicach Sanoka można być pewnym, że podjedzie Autosan, tak na Węgrzech zdecydowanie króluje dobrze nam znana marka – Ikarus. Chociaż marzenia o rozklekotanym busie telepiącym się po dziurawych drogach szybko prysnęły (nie dość, że autobus w dobrym stanie, to jeszcze na drogach równy asfalt), to i tak podróż minęła wesoło. Po dotarciu do Debreczyna okazało się, że Polak – Węgier dwa bratanki, dogadają się nawet o tym nie wiedząc: pociąg w dalszą drogę ewidentnie na nas czekał, bo nie dość, że stał na peronie kilka minut po godzinie odjazdu, to jeszcze podbiegł do nas konduktor, pytając, czy jedziemy do Oradei. My jednak mieliśmy już inny plan: kilkugodzinne zwiedzanie miasta połączone z drzemką w jednej z kawiarni. Po zregenerowaniu sił i zrobieniu zakupów wsiedliśmy więc w kolejny pociąg, tym razem z Debreczyna do Szolnoka, w którym kolejny raz podzieliliśmy się na dwie grupy: jedni spali, drudzy imprezowali. Z czasem nasz przedział się wyludniał, w sumie nie wiadomo, czy po prostu tak jest na tej trasie, czy jednak Węgrzy wracając z pracy do domu, mają lepsze rzeczy do roboty niż słuchanie o tym, że „Jesteś kartką z kalendarza" albo „Kazali mi paść owce". W każdym razie, w Szolnoku mogliśmy po kilku godzinach czekania wsiąść w pociąg, który zawiezie nas już do celu – oczywiście tego nie zrobiliśmy („bo w Szolnoku nie ma nic ciekawego"), w zamian podjeżdżając osobowym do Békéscsaby i przesiadując na skwerku w centrum aż do zmroku. Tam jednak zmieniliśmy repertuar na mniej górskie piosenki, śpiewając bez podkładu chociażby hity z dobranocek, próbując wcisnąć zakazany na wyjazdach Dżem, a nawet chyba zahaczyliśmy o Ich Troje… Wreszcie, zmęczeni długim dniem, wsiedliśmy w ósmy pociąg, czyli nocny do Rumunii. Tam, po rozwiązaniu tradycyjnych problemów z biletami (miejsca mieliśmy wykupione na wcześniejszy kurs, bo o tej godzinie mieliśmy już być w Sybinie, a nie 400km przed nim) i kontroli granicznej, mogliśmy się względnie wyspać.

c.d str. 2

8 września, Sibiu – Cârța – Cârtisoara – Bâlea Cascadă – Bâlea Lac, (pociąg nr 9)

Szósta nad ranem, czas na ostatnią przesiadkę i opuszczenie pociągu w miejscowości Cârța. Mimo 12 godzin obsuwy mogliśmy kontynuować plan obozu: i tak zamierzaliśmy rozbić namioty w okolicy dworca i dopiero nad ranem wyruszyć trasą Transfogaraską w kierunku Bâlea Lac. Wyjazd właściwy zaczęliśmy więc od asfaltowania do Cârtisoary, gdzie zrobiliśmy ostatnie zakupy, wypiliśmy kawę, skorzystaliśmy z dostępnej w kranie zimnej wody i przeszliśmy na drogę łapać stopa – marny sens miało po pokonaniu 8 km od dworca iść kolejne 17 asfaltem, aż do górnej stacji kolejki. Zgodnie z założeniami, udało się za pomocą funkcjonującego w Rumunii płatnego autostopu dostać do Bâlea Cascadă. Tam rozpoczynał się szlak do Bâlea Lac, biegnący równolegle do drogi (pomysł dojazdu kolejką linową wybiła nam z głowy jej cena). Do góry każdy szedł swoim tempem: plecaki były jeszcze pełne jedzenia, a nie mieliśmy tego dnia iść nigdzie dalej, więc nie było sensu sztucznie spowalniać idących szybciej, albo poganiać tych na końcu. Razem z grupą idącą z tyłu, szamając coś w trakcie odpoczynku, zobaczyliśmy wywrotkę zjeżdżającą z asfaltu na polną drogę, a później w ogóle z drogi jakiejkolwiek… Nasze rozmyślania, dokąd ten samochód jedzie i po co, szybko się rozwiały, gdy ciężarówka zatrzymała się niedaleko nas – kierowca wyjaśnił, że wdrapali się tutaj zrobić zdjęcia, więc aby nie przeszkadzać w fotografowaniu, po zamienieniu kilku zdań wyruszyliśmy w drogę. Szczęki w trawie musieliśmy szukać dopiero po jakimś czasie, gdy ten sam kierowca, kilkaset metrów dalej, zaczął do nas wołać. Stało się jasne, że mimo iż szliśmy na końcu grupy, na miejsce dotrzemy w tym samym czasie co pozostali: dostaliśmy ogromnego kopa i już po krótkiej chwili, gdy weszliśmy na asfalt, załadowaliśmy się na pakę. Jadąc wanną przez Fogarasze, cieszyliśmy się jak dzieci, machając do wszystkich widzianych po drodze turystów, w tym również współobozowiczów. Ostatecznie, cała grupa zebrała się w malowniczo położonym schronisku – Cabana Bâlea Lac. Zaczęliśmy więc rozbijać namioty, zrobiliśmy pierwszą rumuńską pulpę, dowiedzieliśmy się, że mimo płacenia za pole namiotowe przy schronisku nie możemy korzystać z łazienki, pośpiewaliśmy do godziny 23, czyli do momentu zamknięcia schroniska (choć raczej bym je nazywał restauracją lub pensjonatem, tak też było opisane na jednej z map) i poszliśmy spać w dość mocnym wietrze.

Słonecznym rankiem pożegnaliśmy gościnną Słowację. Niektórzy byli dość mocno upojeni jej urokiem...

Muntii Făgăras! Kiedy widzieliśmy przed sobą nasz długo wyczekiwany cel, nawet asfaltowanie szło sprawnie.

9 września, Bâlea Lac – Lacul Călcun – Vârful Negoiu – Lacul Călcun – Bâlea Lac

Jako że środa przywitała nas raczej chłodno, na śniadanie wybraliśmy się do schroniska. Dość szybko przekonaliśmy się, że nie był to zbyt dobry pomysł (krzywe spojrzenia obsługi potwierdziło wywieszenie napisanej łamanym angielskim kartki o zakazie jedzenia produktów niekupionych na miejscu), więc po posiłku opuściliśmy to mało przyjazne turystom miejsce. Na szczęście pracownicy pobliskiej restauracji byli bardziej gościnni, zostawiliśmy więc u nich większość rzeczy i wyruszyliśmy na lekko zdobyć drugi pod względem wysokości szczyt Fogaraszy, a zarazem całej Rumunii – Negoiu (2535 m n.p.m.). Trasa była całkiem długa i wymagająca (po drodze w kilku miejscach czekały na nas strome skały i łańcuchy, a końcowy odcinek był zamknięty z powodu osuwiska – trzeba było iść nieco dłuższym obejściem), za to bardzo malownicza, co w połączeniu ze słoneczną pogodą i dobrą widocznością napawało optymizmem. Niewielu turystów poza nami miało okazję podzielać tę radość: porównując do naszych Tatr, na szlakach było zupełnie pusto, spotkaliśmy zaledwie kilka grupek (w tym dwie osoby z Polski), zdecydowaną większość trasy mieliśmy te góry tylko dla siebie. Do restauracji powróciliśmy już po zmroku, trochę żałując, że nie zabraliśmy swoich rzeczy, aby rozbić się w połowie drogi na Negoiu, obok schronu przy jeziorze Lacul Călcun. Zamiast tego powróciliśmy na pole namiotowe z dnia poprzedniego, rozbijając się w jeszcze silniejszym wietrze niż ten, który zastał nas rano – z tego też powodu kolacyjną pulpę przenieśliśmy na czwartkowy poranek, zjedliśmy na szybko, co kto miał pod ręką i zamknęliśmy się w śpiworach.

10 września, Bâlea Lac – Cârța – Brasov, (pociąg nr 10)

Rano było jeszcze gorzej – nie dość, że zimno i wietrznie, to w dodatku mokro. Pulpa została jeszcze raz przesunięta na później, jedyne co byliśmy w stanie zrobić w kiepskich warunkach pogodowych, to ewakuować się do pobliskiej stacji kolejki linowej, gdzie działały kaloryfery. Tam jeszcze raz natknęliśmy się na oblicze rumuńskiej gościnności oferowane przez skomercjalizowaną do bólu przełęcz, dowiadując się, że z powodu dużej ilości turystów (dokładnie: zero, bo kto by się tam wybierał w tak parszywą pogodę) mamy się wynosić. Powróciliśmy więc do restauracji, aby się ogrzać, skosztować lokalnych specjałów (mamałyga była bardzo dobra, mimo że bez mięsa), sprawdzić prognozę pogody i zadecydować, co dalej. Jako że przez najbliższe dni nie było szans na poprawę warunków, podjęliśmy jedyną sensowną decyzję. Plany planami, a życie życiem: wracamy w doliny, mając zdobyty szczyt o zaledwie 9 metrów niższy od najwyższego Moldoveanu, ale jednak nie wykonując głównego celu naszej wyprawy. Po posiłku rozpoczęliśmy więc pakowanie, podzieliliśmy się na kilkuosobowe grupki i zaczęliśmy łapać stopa do stacji kolejowej Cârța. Jednym udało się to szybciej, innym wolniej; ja przekonałem się, że jednak trzeba było przez te kilka lat w szkole uczyć się niemieckiego, a nie olewać zupełnie (chociaż dogadaliśmy się na tyle, żeby wysiąść pół godziny piechotą od stacji – częściowy sukces edukacyjny jednak był), niektórzy zdążyli na ostatnią chwilę (bo pociąg jechał wcześniej, niż się spodziewaliśmy, co wymusiło ekspresowe jedzenie i pakowanie), trzy osoby dojechały dostawczakiem zbierającym prześcieradła po wsiach, aż do miasta Fogarasz. Tam też ponownie spotkaliśmy się całą ekipą, planując nasze dalsze losy. Jako że byliśmy całkowicie uzależnieni od pogody, nie wybiegaliśmy zbytnio w przyszłość – priorytetem było znalezienie miejsca na nocleg, w którym będziemy mogli w końcu ugotować porządne jedzenie, wysuszyć przemoczony ekwipunek i się wykąpać. Na szczęście udało się tego dokonać: tak jak parę lat wcześniej, kruczek podszedł do węgierskiego klasztoru, gdzie znalazło się dla nas schronienie. W sali udekorowanej krzyżami, świętymi figurkami i obrazkami (znaleźliśmy też polskie akcenty – obraz Matki Boskiej Częstochowskiej i magnes na lodówkę z Janem Pawłem II) rozbiliśmy namioty, rozłożyliśmy karimaty i zaczęliśmy przygotowywać najporządniejszą pulpę wyjazdu (w końcu poprzednią jedliśmy dwa dni wcześniej). A nawet dwie pulpy – mając do dyspozycji bogate wyposażenie kuchenne nie musieliśmy się ograniczać, a byliśmy naprawdę głodni. Trochę nam to czasu zajęło (gotowanie, jedzenie, sprzątanie, a jeszcze w międzyczasie kąpiel), przez co pod koniec dnia zawitał do nas zakonnik – i choć nie zrozumieliśmy, co mówi, to z tonu wypowiedzi dało się wywnioskować, że jesteśmy za głośno. Jako że o śpiewaniu nie mogło być mowy, poszliśmy spać tak szybko jak to możliwe, nastawiając budziki i mając zamiar zastanowić się nad ranem, co robimy dalej.

11 września, zwiedzanie Braszowa

Leje. Zarówno rumuńska waluta, jak i piątkowa pogoda. W góry iść nie było sensu, bo owszem, można chodzić w deszczu, tyle że to żadna przyjemność, a jedynym efektem byłoby ponowne zamoknięcie wysuszonych tej nocy rzeczy. Jako że nie chcieliśmy nadużywać gościnności klasztoru (dobrze jest mieć miejsce, w którym awaryjnie można przenocować, a nie przy wyjściu palić za sobą mosty), przenieśliśmy się do centrum miasta, gdzie prowadzący poszli szukać noclegu, a my spędzaliśmy czas na rozmowach (swoją drogą, temperatura poniżej 20 stopni oraz przelotnie padający deszcz sprawiają, że w większość rumuńskich knajp nie obsługuje klientów siedzących poza lokalem…). Ci z nas, którzy przyjechali tylko na jeden ty-

c.d str. 3

dzień, zaczęli się zastanawiać, czy aby nie wrócić dzień wcześniej – planowo zostały im tylko dwa dni wyjazdu, a brak pomysłu, co zrobić z tym czasem, nie zachęcał do zostania. Nadzieję przyniosła prognoza pogody – jutro miało przestać padać, a jako że nad miastem góruje Masivul Postăvarul z najwyższym szczytem Postăvaru wysokim na 1799 m, plan końcówki tygodnia ułożył się sam. Najpierw jednak przeszliśmy zostawić nasze rzeczy w hostelu i bez plecaków wybraliśmy się na przechadzkę po Braszowie. Rynek, główne alejki, Czarny Kościół, Cerkiew świętego Mikołaja – do miejsca noclegowego wróciliśmy o zmroku, robiąc po drodze zakupy. Tego wieczora chcieliśmy odreagować skutki kiepskiej pogody (cały tydzień mieliśmy spędzić w Fogaraszach, a ostatecznie chodziliśmy po nich ledwie jeden dzień), śpiewanie i zabawa ciągnęły się więc długimi godzinami.

„Camping dupa gara" – idealna miejscówka na nocleg, bo za sąsiada mieliśmy szefa policji,a kruczek miał blisko na stację kolejową.

12 września, Brasov – Poiana Brasov – Postăvaru – Cabana Postăvaru – Poiana Brasov – dupa arbore

Przestało padać, czas więc wracać w góry! Na Poianę Brasov dostaliśmy się miejskim autobusem, w którym kontroler biletów po ich sprawdzeniu pochwalił się, że zna jedno słowo po polsku. Jego urwa wywołała salwę śmiechu, jednak nie udało się dowiedzieć, jaki jest rumuński odpowiednik tego słówka, ani nawet czy kontroler zna jego prawdziwe znaczenie – bariera językowa po raz kolejny dała się we znaki. Rozweseleni dojechaliśmy do końcowego przystanku, gdzie w wypożyczalni sprzętu zimowego pozostawiliśmy co cięższe rzeczy, spróbowaliśmy langoszy oraz posłuchaliśmy lecącego z głośników Radia Brasov (można go słuchać przez internet, szczerze polecam – mało reklam i gadania, przez co większość czasu myśleliśmy, że to po prostu playlista pojedynczych utworów, a nie nadająca w eter rozgłośnia). Gdy w końcu wyruszyliśmy na szlak, opuszczając ten bogaty ośrodek narciarski, naszym oczom ukazał się krajobraz kojarzony z Beskidami – ścieżki przez liściasty las, poprzecinane od czasu do czasu nartostradami. Po krótkim postoju w cabanie zaczęliśmy podbój Postăvaru. Mimo 800 metrów przewyższenia od Poiany nie było czuć wysokości, na której jesteśmy (choć przecież szczyt jest wyższy niż Babia Góra), dodatkowo pogoda zaczęła się poprawiać, momentami zajrzało do nas nawet słońce. Do pełni szczęścia brakowało jedynie widoków, skutecznie zasłoniętych przez mgłę, która już na szczycie blokowała wszelkie próby spoglądania w dal, a w czasie powrotu ograniczyła widoczność do kilku metrów. Całkiem sprawnie odnaleźliśmy jednak zgubiony w tym mleku szlak, aby po dojściu do cabany wysłuchać wykładu o geografii Rumunii, z profesjonalnie rysowaną na kartce papieru mapą fizyczną. Gdy część edukacyjna się zakończyła, wyruszyliśmy w drogę powrotną do Poiany Brasov – tam odebraliśmy nasze rzeczy i ruszyliśmy w dół, poszukiwać miejsca poza kurortem na rozbicie namiotu, wcześniej jednak umilając sobie oczekiwanie na zebranie całej grupy zabawą w rytmach Radia Brasov. Kawałek równego terenu znalazł się po kilkunastu minutach, namioty postawiliśmy „za drzewem", co tłumaczy się na rumuński jako „dupa arbore". Drzew nie było co prawda zbyt dużo, ale wystarczyło na zebranie kilku patyków – rozpaliliśmy więc tego wieczora pierwsze rumuńskie ognisko. Z powodu ograniczonych ilości drewna kolację gotowaliśmy co prawda na palnikach, jednak ognisko pełniło funkcje suszącą, grzejącą i towarzyską, a jako że następnego dnia połowa ekipy musiała nas opuścić, to w szczególności wykorzystaliśmy tę ostatnią – jedyne użycie gitary na wolnym powietrzu stało się faktem, tym razem już nikt nie mógł nam zarzucić, że jesteśmy za głośno, gdyż w okolicy po prostu nikogo nie było (jedynie robotnicy pracujący w nocy na widocznej z polany budowie, oraz pies, który krążył wokół naszych namiotów).

Przed atakiem na Moldoveanu.

13 września, dupa arbore – Brasov – Fagaras, (pociągi 11 – 12)

Rano udało nam się zwinąć stosunkowo sprawnie, przy okazji zrobiliśmy przegląd pozostałego jedzenia (wieża z mielonek wyglądała imponująco, udowodniła również, że 1 kg mięsa na osobę, to jednak trochę za dużo), po czym wyruszyliśmy szlakiem do Braszowa. Zajęło nam to zdecydowanie więcej czasu niż autobusem, ale trzeba było skorzystać z przyjaznej już dla nas aury, a z powodu zbliżającego się odjazdu pierwszej grupy nie było możliwości wymyślenia innej trasy. Po drodze zapadła również decyzja, co robimy z drugim tygodniem: jako że prognozy były naprawdę optymistyczne, porzuciliśmy pierwotny plan przejścia Piatry Craiului, w zamian decydując się na odwiedzenie brakującego, najwyższego fragmentu Fogaraszy: Moldoveanu. Poszliśmy więc czym prędzej w kierunku dworca, do czego motywował nas uciekający czas, konieczność zrobienia zakupów na drugi tydzień oraz śliskie kamienie na końcowym odcinku. Przy wejściu do miasta dobiegły nas dźwięki trwającego tam festynu, jednak zegarek pokazywał nieugięcie, że nie ma już czasu na postój. Szybka wizyta w sklepie (znajdowała się w nim ciekawa instalacja, mianowicie wino, które wlewało się z beczki do plastikowych butelek, w cenie 5 złotych za litr – bardzo dobre), transfer na dworzec i odjazd ostatnim wspólnym pociągiem – dla nas, 7 osób zostających na dłużej, tylko do Fagarasu, dla pozostałych 7 osób wracających już do domu, aż do Szolnoka, gdzie czekały kolejne przesiadki na drodze do Polski. Po godzinie jazdy nie pozostało nam nic innego, jak pożegnać się z połową ekipy, zabrać swoje rzeczy i zakończyć pierwszą część obozu.

c.d.n.

Kamil Ziętek

Fot.: Michał Kulanek

NA PRZEKÓR POGODZIE

namiotowa majówka w Niżnych Tatrach

Człowiek chyba lubi nie uczyć się na błędach. Nie uczymy się na błędach innych ludzi, nie uczymy się także na swoich błędach. Trudno bowiem znaleźć inne wytłumaczenie, dlaczego na tegoroczną pierwszą majówkę, tuż po kwietniowych przymrozkach, wybraliśmy się w Niżne Tatry, kiedy mogliśmy w tym czasie wygrzewać różne części ciała na przykład w Beskidzie Niskim.

Ale cóż zrobić. Decyzja zapadła, więc pojechaliśmy. Była nas szóstka, więc wzięliśmy dwa auta, mając w planie rozstawienie ich po dwóch stronach pasma – w Bacuchu i w Telgarcie lub Sumiacu. Jednak w drodze, po dokładnym spojrzeniu na mapę i zegarek, wyszło nam, że bardziej optymalnie będzie zacząć na przełęczy Certowica. Przełęcz, jak to przełęcz, skusiła nas potencjalnym brakiem podejścia w drodze do Ramży, gdzie planowaliśmy nasz pierwszy nocleg.

Całą ekipą spotkaliśmy się więc na Certowicy w godzinach wczesnopopołudniowych. Asia i Huchel zostali wysłani na misję rozstawiania samochodów, reszta zaś – czyli Bobek, Olek, Klimas (kolega Huchla) i ja – zdecydowaliśmy umilić sobie czas specjałami z mniej lub bardziej lokalnych winnic.

Droga do Ramży minęła nam szybko i przed zmrokiem doszliśmy do drewnianej utulni, która okazała się pusta. Namioty poszły więc w kąt, a my zrobiliśmy sobie całkiem miły wieczór w bacówce przy pulpie i gitarze.

Poranek przywitał nas piękną pogodą, więc po spakowaniu dobytku i zrobieniu „selfie" z mikro statywu (który wówczas testowałam przed wyjazdem na wakacje), ruszyliśmy w trasę. Mieliśmy w planie spać w namiotach przy kolejnej utulni na Andrejcowej. Po drodze zaliczyliśmy kilka szczytów,

c.d str. 4

przełęczy i podejść, w tym najcięższe na Velką Vapenicę – przed którym prawie że zdecydowaliśmy się zabiwakować. Rozsądek jednak wziął górę i po dziesiąciu godzinach od wyruszenia, dotarliśmy do utulni na Andrejcowej.

Utulnia ta jest dość spora – posiada główną przestrzeń z piętrowymi łóżkami, stołem i piecykiem oraz poddasze z materacami. Co prawda dolna część była już zajęta przez kilka osób, ale spokojnie zmieściliśmy się na górze, dzięki czemu namiotowanie znowu nam nie wyszło. Nie byliśmy tym jednak zbyt zmartwieni, ponieważ pogoda zaczęła się dość gwałtownie psuć – przenikliwy zimny wiatr i ciężkie chmury uniemożliwiły nam nawet próby (podejmowane!) umycia się w źródełku.

Z powodu zmęczenia, impreza wieczorna zakończyła się tuż po zjedzeniu posiłku, a rano okazało się, że wiosna zamieniła się w listopadową jesień. Przez mgłę widać było na kilka metrów, a temperatura skłaniała bardziej do chodzenia w kurtce puchowej niż w krótkim rękawku. Cudownie, tym bardziej, że tego dnia mieliśmy w planie wejść na Kralovą Holę (1946 m n.p.m.), czyli najwyższy szczyt wschodniej części Niżnych Tatr.

Mgła różnej gęstości, porywisty wiatr i kłębiące się chmury towarzyszyły nam już do samego szczytu, który osiągnęliśmy, torując sobie drogę w śniegu. Może nie było to jakieś ekstremalne doświadczenie, ale jednak spacer w śniegu po pół łydki, przy wietrze, który zwiewa cię z wychodzonego przez trzy osoby przed tobą śladu – nie do końca brzmi jak opalanie się przy bacówce na Rycerzowej.

W końcu udało nam się osiągnąć szczyt, choć bardziej ucieszył nas fakt, że mogliśmy odpocząć w przedsionku ogromnej stacji telewizyjnej, która tam się znajduje. Po posiłku czekało nas zejście niebieskim szlakiem w stronę Sumiaca i miejsca, gdzie zostawiliśmy samochód. Z każdym metrem w dół zbliżaliśmy się coraz bardziej do wiosny – im niżej, tym pogoda była lepsza, a świat cieplejszy i bardziej przyjazny...

Po południu, niedaleko szlaku, znaleźliśmy miejsce na nocleg, gdzie wreszcie rozbiliśmy namioty, rozpaliliśmy ognisko, nawet wykąpaliśmy się w potoku, a temperatura pozwalała na tylko jedną warstwę wierzchnią odzieży. Wieczorem można było nawet zagrać coś na gitarze i pooglądać gwiazdy. Nie do pomyślenia, że jeszcze kilka godzin wcześniej buty przemakały mi w śniegu...

Następnego dnia, który był już ostatnim dniem majówki, chcieliśmy zrobić coś jeszcze, w stylu przebiegnięcia doliny Prosieckiej. Po zejściu do Sumiaca musieliśmy ponownie wykonać manewr z przestawianiem aut, jednak zajęło nam to sporo czasu. Gdy podjechaliśmy pod Prosiecką, było już dość późno, zresztą nie zachęciły nas też burzowe chmury i okazyjne grzmoty, więc zdecydowaliśmy się na odwrót i tym samym powrót do domu.

Wniosek z wyjazdu jest jeden – jeśli w kwietniu dalej są przymrozki, zbliża się majówka, a ty nie chcesz zmarznąć – nie jedź w Niżne Tatry. Ale jeśli masz ekipę, z którą niezależnie od pogody chodzenie po górach to świetna zabawa – z czystym sercem polecam!

Ola Ginter

Fot.:Canon + mikrostatyw

TO BYŁO

✔ 21-22.05 Beskid Makowski

✔ 9.06 Pragnę podzielić się z Wami naszą radością. 9 czerwca 2016 r. o godz. 18:07 na świat przyszła nasza córeczka Hanna Joanna Poterek.

Dane startowe 3550 g i 56 cm. Jest silna, zdrowa i piękna. :)

Pozdrawiamy! Grażka i Harry

P.S. Hania mogłaby być bardziej 3/4 PH niż 1/2 w końcu Harry kurs skończył.

✔ 11.06 o godz. 15:00 w kościele WNMP w Gliwicach wstąpili w związek małżeński Justyna „Kołomyja" Kołodziej i Jakub Bartczak.

✔ 14.06 w ramach zebrania odbyło się szkolenie fotograficzne dla początkujących i średniozawansowanych fotoamatorów. Szkolenie przeprowadził Jacek Ginter.

TO BĘDZIE

❋ 9-17.07 przejście przewodnickie starszego kursu w Beskidach Zachodnich poprowadzi Zbyszek Drapała.

❋ Przed nami przerwa wakacyjna, ale mamy nadzieję, że uda nam się spotkać na zebraniu wakacyjnym na przełomie lipca i sierpnia. Śledźcie informacje na stronie kołowej. Redakcja czeka natomiast na relacje z Waszych wakacji.

❋ 24-25.09.2016 **ERG czyli Ekskluzywny Rajd Górski**

Zbliża się gorący wakacyjny okres wyjazdów i urlopów. Czas ten bardzo szybko minie i zanim się obejrzymy, będzie już wrzesień. Dlatego informuję, że tegoroczny ERG odbędzie się terminie 24-25.09.2016 r. na terenie „poza uprawnieniami", tzn. w Sudetach.

Miejsce, atrakcje i trasy zostaną przedstawione do końca lipca.

Przypominamy, że tradycją ERG-u było zawsze zapraszanie na nasze autorskie trasy harnasiowych krewnych, znajomych, przyjaciół. Zachęcamy do kontynuacji tej formuły.

Stefan Brzezinka

MAJÓWKA W 3 ZDJĘCIACH *wyniki konkursu:*

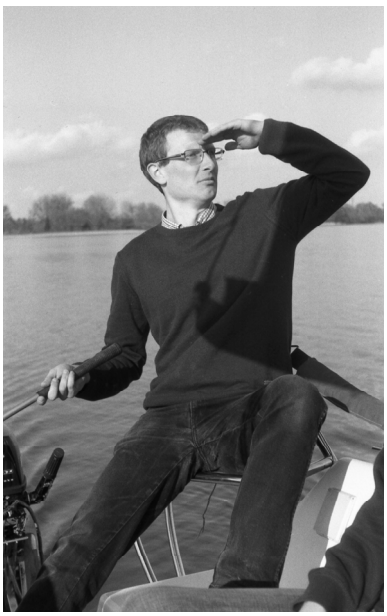

1. Jest lewy foka szot wybieraj! 2. Kurs na Mc'donalds

- Nagroda Publiczności: **Sebastian Lenartowicz**
- Nagroda Jury i pierwsze miejsce: **Sebastian Lenartowicz**
- Drugie miejsce: Jacek Ginter
- Trzecie miejsce: Magdalena Goryl

Poniżej publikujemy zwycięski fotoreportaż Sebastiana Lenartowicza.

3. Na jachcie